Nr. 51 (porz. 233.) Kraków, sobota d. 24. grudnia 1903. Rok VI.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.
Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

„A na ziemi pokój ludziom dobrej woli“

Już 20-ty wiek, jak świat chrześcijański obchodzi rok rocznie święto Bożego Narodzenia a przecież uroczystość ta nic nie straciła dotąd na swym uroku, zawsze promienieje takim powabem i rzewna prostota tej głębokiej tajemnicy naszej św. wiary takim czarem radosnych uczuć napełnia serca nasze, że co roku młody i stary, bogacz i ubogi, mędrzec i prostaczek wyczekują z jednakowo tęsknem, radosnem upragnieniem tej uroczystości, która jest już nie tylko ściśle kościelną, ale stała się uroczystością rodzinną, familijną. Jak z miłości ku rodzajowi ludzkiemu zstąpił Zbawiciel z górnych niebiańskich przybytków na ten padoł łez i niedoli, tak miłość i serdeczny nastrój przebija się z całego obchodu tej wzniosłej uroczystości. Tu potęga miłości ściąga rozproszonych członków rodziny z najdalszych krańców do ogniska domowego, by tu wspólnie, razem, owiani duchem miłości spędzili to wielkie święto »Bożego Narodzenia! Cały rok się nie widzą, cały rok w tułaczce, cały rok zdala i w rozłączeniu, ale na »Wigilję«, ale na »Boże Narodzenie« ściągają, jakby żórawie, pod strzechę rodzinną, by się połamać opłatkiem, by się uścisnąć i ucałować, by się wzajemnie zapewnić o serdecznych uczuciach, by tą serdeczną wspólnością wznowić swe siły i pokrzepić się do dalszej a trudnej walki życiowej, by sobie wzajemnie życzyć wszystkiego dobrego! O błogosławione święto »Bożego Narodzenia«, które nietylko rodziny, krewnych i przyjaciół jednoczy, rozniecając wśród nich święte zarzewie ognia ciągłej miłości, ale Ono uśmierza burze, namiętności, uspakaja zwaśnionych, skłania do da-

rowania sobie win wzajemnie i zmusza niejako do wstąpienia na drogę zgody, bo pienia chórów anielskich »Chwała na wysokości Bogu a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.« A miękczy ich serca, wyciska łzę żalu i budzi postanowienie zaniechania dalszej nienawiści! Oby te anielskie pienia przeniknęły dusze wszystkich chrześcijan, abyśmy już raz stali się ludźmi »dobrej woli«, a zniknęły ta pycha i brzydka zarozumiałość; a zniknęłaby ta pogarda i poniewieranie niższym i uboższym, a zniknęłyby te krzywdy i nadużycia i nastałby ten pokój na ziemi i pokój w sercach przyrzeczony ludziom tylko »dobrej woli!« Na zakończenie niech nam będzie wolno zwrócić się do Was bracia siermiężni i do Was nasi prenumeratorzy. Myślą łamiąc się z Wami opłatkiem, wyciągamy do Was naszą dłoń przyjacielską jako do naszej rodziny, grupującej się koło »Obrony ludu« i przesyłamy Wam nasze szczere, serdeczne życzenia! Boże błogosław Wam, Waszym rodzinom, Waszym dobytkom i Waszym łanom. Daj Wam Boże, czego pragniecie do Waszego i Waszych rodzin szczęścia. *Redakcya.*

Dwudziestą siódmą zapomogę wypłaciliśmy Putyrowej z Dębnik, wdowie po długoletnim prenumeratorze »Obrony ludu« śp. Janie Putyrze.

Dwudziestą ósmą zapomogę wypłaciliśmy staremu ojcu śp. Cygnarowicza w Lipnicy wielkiej. Zmarły Cygnarowicz był dłuższy czas prenumeratorem »Obrony ludu«. W Młodym wieku zabrało go śmierć.

Dwudziestą dziewiątą zapomogę wypłaciliśmy sierotom po śp. Janie Krówce z Bierzanowa. Pomimo że wdowa po Krówce nie zasługiwała na pomoc, to jednak dla biednych sierot daliśmy **100 K.**

Wieczór wigilijny unitki w X. pawilonie.[1]

Z jednej strony plant kolejowy, po którym codziennie tysiące ludzi w różne strony świata dąży, z drugiej mazowiecka stolica— Warszawa, kipiąca życiem i gwarem wielkomiejskim, a pośrodku gmach, otoczony wałami, martwy, posępny, to cytadela warszawska

Polak, a zwłaszcza królewiak wzdryga się na to słowo. Ta cytadela — to historya straszna lat wielu, grobowiec serc szlachetnych, duchów mocnych, żywych męczenników polskich.

A w tej cytadeli najstraszniejszy pawilon dziesiąty, którego ściany zapisane są krwawemi wyrazy, głoszącemi bohaterstwo naszych współbraci, okrucieństwo i zwierzęcość carskich ciemiężców.

---

[1]) Dziesiąty pawilon j. t. jeden z gmachów cytadeli warszawskiej, w którym więziono za sprawy polityczne, za wyznawanie prawdziwej wiary. Dziesiąty pawilon, to jedno z najstraszniejszych więzień rosyjskich.

Nie potrzeba być zbrodniarzem, aby się dostać do dziesiątego pawilonu cytadeli warszawskiej!

Oto w jednej z cel, nizkiej, ciasnej, ciemnej, i brudnej siedzi kobieta, dziecko prawie ..... Jej rąk nie skalała zbrodnia, na jej sumieniu nie cięży żaden występek, była zacną Polką, uczciwą żoną i dobrą matką. Za co oderwano ją od męża i syna, od zagonu ojczystego, ogniska domowego? Za to, — że była unitką — w państwie cara i nikczemności siepaczów dworskich, sług carskich — słowo unitka [2]) nie ma prawa obywatelstwa, a przyznająca się do tego miana idzie do lochu, do celi.....

* * *

Cichy wieczór zimowy,—na roziskrzonem niebie lśnią srebrne gwiazdy — Wieczór wigilijny..... W całym świecie radość i uciecha. — Biją dzwony, płoną światła, do wigilijnego stołu zasiada rodzina.

Rok temu — siedziała z mężem i dzieckiem, — było im tak dobrze, tak słodko, zdawało jej się, że los zesłał jej największe szczęście, jakiego człowiek na ziemi dostąpić może i że to szczęście nigdy nie minie; niestety zapomniała, że mieszka w kraju rządzonym despotyczną moskiewską ręką, w kraju, gdzie tysiące giną za wiarę i język ojczysty — gdzie nie wolno ani się modlić w kościele, ani spowiadać przed księdzem, bo wtedy »dopros«, czyli śledztwo — i cytadela.

Gdy wyprowadzano ją z domu, zemdlała, — oficer moskiewski uderzył szablą, a gdy to nie pomogło, kopnął ją nogą; — mąż porwał się na niego, wpił się rękami w jego szyję, przewrócił na ziemię, pierś kolanami nacisnął i zdusił na miejscu. Poszedł za to na całe życie w katorgę. [3]) Ona tu siedzi, czeka na dalsze losy.

Hen — tam na wsi, światła się jarzą, pieśni śpiewają...... A on czy żyje jeszcze skuty w łańcuchy?

Padła na tapczan, serce z bólu jej pęka i w głos załkała. Z poza drzwi słychać miarowy tylko chód szyldwacha.

Drzwi się otworzyły — wszedł dozorca.

— Czewo rewiosz?! A choczesz, skażu naczalniku budiet tiebie! (Czego syczysz. — A chcesz? to powiem naczelnikowi, będziesz miała!)

Uderzył ją pochwą szabli, zawołał raz jeszcze: Dowolno mołczy sobaka (dosyć, milcz suko). I poszedł.

Złożyła ręce do modlitwy i klęknęła przed oknem. Modliła się do tej gwiazdy, co lśniła na niebie, bodaj o śmierć. — Ale śmierć nie przyszła.

Widocznie na to niebo wyiskrzone, świecące srebrnym blaskiem nad cytadelą, padła groza potęgi carskiej, padł cień podło-

---

[2]) Unitka — to kobieta grecko-katolickiego wyznania, co nie chce przyjąć prawosławia.

[3]) Katorga — więzienie w kopalniach syberyjskich, gdzie każdy więzień przykuty jest wiecznie do taczek. Z nimi chodzi, pracuje i przy taczkach śpi

ści tych, którzy na katedrach głoszą swobodę wyznania a nakazują siepaczom swoim rzucać niewinnych do lochów za to tylko, że są unitami — i mordować niewinną kobietę, że nie mogła się powstrzymać od łez krwawych w cichy zimowy wieczór wigilijny.

Gdy wstał poranek nazajutrz zimowy — zagasły gwiazdy, a blady promień grudniowego słońca, przedarłszy się z trudem do celi więziennej, oświecił skuloną w kącie postać kobiecą.....

Nie łkała, uśmiechała się nawet, wpatrzona bezmyślnie w jeden punkt wąskiej celi.

W wieczór wigilijny zwaryowała.

Nie pomogły obelgi dozorcy i kopania oficera. Nieszczęśliwa nie ruszyła się z miejsca.

Nadszedł lekarz — popatrzył się i rzekł obojętnie:

— Nu jejo kczortu! sumaszedszaja! (Do dyabła z nią! — warjatka.)

Był to ostatni wieczór wigilijny unitki. *Marya D.*

Poseł ks. Szponder przy debacie teatralnej w Sejmie.

Wysoka Izbo! O ile teatra spełniają swe zadanie pod względem cywilizacyjnym i kulturalnym, o ile szerzą znajomość utworów literackich, w pierwszym rzędzie mistrzów naszych narodowych, a potem zaznajamiają nas z dziełami zagranicznych autorów, których treść i klasyczna forma na to zezwalają, o ile teatra przyczyniają się do podniesienia uczuć estetycznych i moralnych, uważam teatra ze stanowiska kulturalnego nietylko za niezbyteczne, ale wprost za potrzebne i pożyteczne.

Gdy jednak teatra nasze (zwłaszcza w Krakowie, przyp. Red.) schodzą z tej wyżyny sztuki i estetyki, gdy karmią nas przeważnie obczyzną, nierzadko o nader lichej wartości literackiej i niesmacznej treści, utwory zaś nasze, ustalonej sławy, ukazują się na scenach jako białe kruki, a młodszym siłom literackim tylko z trudnością daje się przystęp do gmachu teatralnego i to pod nader uciążliwemi warunkami, — to nietylko muszę zaprotestować przeciwko teatrom w tym kierunku działającym, ale jako Polak i poseł ludności, płacącej na te teatra, zmuszony jestem je zwalczać. Wobec bowiem tak wysokiej pozycyi, jaka wstawiona jest na utrzymanie i subwencyonowanie teatrów, trudno, abym wobec ogromu klęski powodziowej, jaka dotknęła kraj nasz, nie zabrał głosu. Na teatr krakowski przeznaczona jest kwota roczna **37** tysięcy koron, na lwowski **109** tysięcy kor., co na rok 1903 i 1904 czyni razem blisko **250** tysięcy koron. Interesu w tem lud nasz zupełnie żadnego nie ma, bo jest to tylko interes miast, a lud nasz od miast nietylko żadnej korzyści nie doznaje, ale owszem, każdą odrobinę mleka, każdą osełkę masła, każdy serek musi opłacać, jak je do miasta przynosi i tam te artykuły chce spieniężyć.

Z hojnością w stosunku do naszej siły finansowej wspieramy dramaty, ale tylko sztuczne, jednak na dramaty prawdziwe, realne, w których jako aktorzy występują tysiące zgłodniałego ludu naszego, na ten rzeczywisty dramat, odgrywający się prawie w każdej chacie wieśniaczej, pieniędzy nie mamy! Płaczą serca czulsze, gdy na scenie teatralnej ginie artysta w sposób sztuczny, ale gdy tysiące chłopów ginie w konwulsyjnych i kurczowych drganiach z głodu, to te dramaty zupełnie nas nie obchodzą, patrzymy na nie suchem okiem i z całą obojętnością! W sprawozdaniu budżetowem wyraźnie dalej stoi, że dla usiłowań dyrektorów teatrów, którzy się starają o podniesienie sceny pod względem narodowym, przeznacza się osobną, osobistą subwencyę: dla dyrektora w Krakowie 4 tysiące kor., a dla dyrektora we Lwowie 8 tysięcy koron! Czyż my żyjemy w Afganistanie lub w Turkiestanie? Czy tu u nas dyrektor teatru jest obowiązany grać tylko sztuki japońskie lub chińskie? Czy ten dyrektor robi nam tylko łaskę, jeśli gra nasze sztuki narodowe? Czy ten dyrektor, mocą kontraktu, jaki zawiera, nie jest obowiązany wystawiać przedewszystkiem sztuki narodowe? Zdaje mi się, że jako Polacy krzywdę wyrządzamy dyrektorowi polskiego teatru, jeżeli go choć posądzamy o brak patryotyzmu, i jeśli przypuszczamy, że, aby wystawiał sztuki patryotyczne, musimy mu za to specyalnie płacić?!

Ja mniemam, że panowie z miast, którzy powiadają, że w subwencyonowaniu teatrów i ich dyrektorów widzą przedewszystkiem podniesienie kultury i obyczajów, że ci panowie nie są zbyt szczerzy! Z jednej strony bowiem mówi się: dlatego budujemy teatra, bo chodzi nam o cywilizacyjne, kulturalne i moralne podniesienie ludności, a z drugiej strony daje się koncesye na setki szynków i mnoży się je z roku na rok. Otwiera się nocne kawiarnie, zaprowadza się »tingel-tangle«, daje się koncesye na cyrki i rozmaitym innym dławidudom i wykpigroszom! (ogólna wesołość). Jeżeli chcecie przysporzyć teatrom biletów, to zamknijcie większą część szynków, kilka kawiarń nocnych, które właściwie są szulerniami, nie pozwalajcie zagranicznym sztukmistrzom rozkładać u nas penatów, aby nie zabierali stąd grosza, — a bądźcie panowie przekonani, że niejeden, który ma pieniądze na to, zamiast do cyrku pójdzie do teatru.

Z tych więc przytoczonych powodów, proszę Wysokiej Izby o skreślenie pozycyj 157 i 160, gdzie figurują osobiste dodatki dla dyrektorów teatru lwowskiego i krakowskiego, a natomiast te pieniądze przeznaczyć na wsparcie powodzian powiatu krakowskiego.

Kiedy posłowie Małachowski i Michalski wystąpili w obronie teatrów, a w szczególności w obronie osobistych subwencyj, przeznaczonych dla dyrektorów tychże; kiedy wykazywali, że wystawianie sztuk narodowych przynosi tylko stratę, poseł ks. Szponder zabrał ponownie głos, jak następuje:

Wysoka Izbo! Muszę tu wziąć w obronę mieszczan i obywateli miasta Krakowa. Ja z doświadczenia wiem, że w Krakowie, ile razy dają sztukę na tle narodowam, galerye uginają się od wi-

dzów i wszystkie fotele i loże są wypełnione. Jeśli we Lwowie jest wprost przeciwnie, to bardzo się temu dziwię, bo słyszałem od wielu osób, że Lwów przyświeca nam pod względem patryotycznym.

W Krakowie jednak z przedstawień sztuk narodowych nietylko straty nie ma, ale owszem jest plus, a gdyby nawet było minus, to i tak byłby bardzo mały niedobór, bo sztuki na tle narodowem wystawia się bardzo rzadko. Natomiast z pominięciem sztuk narodowych, wystawia się sztuki »pikantne«, jako mające u publiczności więcej popytu! I czyż nie dla ironii umieszczono na gmachu teatralnym napis: »sztuce narodowej", gdy tymczasem w tym gmachu króluje prawie wyłącznie »muza podkasana« tylko dla większego zysku dyrektora. Niechże więc pan dyrektor zyskiem ze sztuk »pikantnych« wynagrodzi sobie ubytek z przedstawienia sztuk narodowych, a niech nie sięga po to do kieszeni kraju! *)

Jednak z kieszeniami dyrektorów teatralnych nie musi znów być tak źle, a choć z przykrością, jednakowoż muszę tu powiedzieć, że każdy z dyrektorów, jak się sezon przedstawień skończy, wynosi się gdzieś za granicę i może właśnie te 4 czy 8 tysięcy, które otrzymał, tam zostawia. Kto się chce bawić i kąpać w morzu, niech się bawi i kąpie za swoje; przeciwko temu nie mam nic, ale niech od kraju nie żąda pieniędzy na ten cel. Ja również jestem gotów wyjechać choćby i nad Ocean Spokojny, niech mi tylko Wysoka Izba uchwali na ten cel subwencyę, a z największą przyjemnością to uczynię! (Wesołość).

Jestem zdania, żeby nie obniżać ducha patryotycznego u tych panów Dyrektorów, płacąc im za te, niestety tylko usiłowania patryotyczne monetą brzęczącą, bo to im ubliża i spycha ich do roli nieprzyjemnej »handlarzów patryotyzmu!».

Sądzę, że będzie najstosowniej, jeśli Wysoka Izba uchwali im uznanie za ich działalność, gdy już na to zasługują a to będzie daleko więcej honorowe i z pewnością tem stanowiskiem odpowiem w całej pełni intencyom panów dyrektorów teatru. (Brawa i oklaski).

---

*) Repertoar teatralny posiada bardzo mało sztuk prawdziwie ludowych, bo i brak polskich autorów bliżej lud znających; utwory zaś Anczyca, Dominika, Korzeniowskiego, Galasiewicza, Staszczyka, zaledwie kilka rysów zaznaczyły z życia chłopskiego — a i one grzeszą nieraz zbytnią przesadą lub naiwnością. (Nawet mowa i strój chłopski na scenie, rzadko kiedy odtworzone są prawdziwie). Bogate to pole leży odłogiem i czeka na „chłopskich pisarzy w siermiędze". W Krakowie jest wprawdzie „teatr ludowy", w którym jednak niema „chłopskich artystów", a grywają takie sztuki jak: „Djabeł w zalotach", albo „Rynaldo-Rynaldyni", dlatego z ludem nie ma on — prócz nazwy — nic wspólnego, i nie daje ludowi żadnej korzyści. Z drugiej strony w rzeczywistości, największą część ciężarów ponoszą włościanie, których krwawica podatkowa w znacznej części spłynęła na te subwencye dla teatrów i dyrektorów — dopóki jednak włościanie nie wezmą się gorliwie do czytania gazet i książek, a następnie do pisania w wolnych chwilach, będą tylko tym wołem roboczym, co w chłodzie i głodzie ciągnie pług dla korzyści cudzej. Zagranicą chłopi już mają własne teatrzyki, sami odgrywają sztuki, a nawet je piszą, lub uzupełniają swojemi wierszami — u nas dużo przejdzie powodzi, zanim włościanie nauczą się cenić korzyści, płynące z czytania gazet i książek. *Przypisek zecera.*

Zaniedbane talenty na wsiach.

Szkoda, że u nas rzadko ten do szkół idzie, co ma chęć i talent, a zawsze tylko ten, co ma pieniądze, choć bez talentu i chęci.

Niechże w »Obronie ludu« będą wspomniane nazwiska tych ludzi, którzy, przy jakiej takiej opiece społeczeństwa, byliby pewnie sławnymi, ich portrety liczne, a może i pomniki dla nich stawiane by były.

Pierwsze miejsce niech tu zajmie gospodarz Juraszek zwany Ślepek z Jeleśni, sławny od Litwy po Węgry, od Rusi po Wiedeń, jeżeli nie dalej, jako świetny naprawiacz złamanych kości ludzkich. Codzień tam kilku lub kilkunastu nieszczęśliwych przywożą, lub przyjeżdżają po niego, proszą, na kolana padają i rozpaczliwie wołają: Ratuj nam ojca, lub matkę, albo męża, lub żonę. A on pełen dobroci i współczucia po mistrzowsku naprawia najgorsze zdruzgotania kości; i jeszcze nie było wypadku, aby mu się co nie udało. Ile on już wyleczył panów, księży i pań aż od Warszawy, tobyś bracie nie zliczył. Arcyksiążę Stefan płaci mu subwencyę roczną. Gdy ten mistrz prawdziwy, choć bez dyplomu doktorskiego, zamknie swe oczy, a ma już lat 96, to przybędzie tysiąc kalek, koszlawców, bo nie będzie miał ich kto ratować. Mamy wprawdzie dużo doktorów nowszych i z dyplomami, ale biegłych w swej sztuce b. mało. Oprócz niego znamy jeszcze trzech innych chłopów lekarzy, ale już nie tak sławnych. W Przeciszowie słynął szeroko jako lekarz chorób wewnętrznych, niejaki Hutny chłop. Ten jednak już zmarł przed kilku laty.

W Sułkowicach jest chłop J. Łojek, cieśla wieżowy. Stawiał on już wiązania 20-tu wież kościelnych, a prawie zawsze plan dany od budowniczego, albo uprościł, albo zupełnie na swój sposób przerobił, daleko lepiej i trwalej. Niejednego inżyniera budowniczego wprowadził w podziw i zdumienie.

W Zawoi chłop Michał Malik sam zrobił maszynę parową o sile dwóch koni. Porusza mu parową piłę (Bandseege) iż może rznąć naraz 2 tramy na deski. Ale nasz rząd, zamiast mu dać medal, wpakował mu gruby podatek zarobkowy, więc piła stoi, aby nie robiła konkurencyi arcy tartakowi 6-cio gatrowemu. (wstyd)

Wojciech Ficek w Białce (ad Maków) zrobił młyn wodny. Od wodnego koła idzie transmisya popod podworzec i popod dom do wygodnej młonicy na suchem miejscu. Wszystko to zrobił sam.

W Makowie było trzech braci Radwanów. Jasiek i Antek, kowale, robili welocypedy, rewolwery całe nowe i strzelby. Przerabiali znakomicie wszelkie kapslówki na lefosz, czy lankaster. Jeden z nich zrobił maszynę parową o sile dwóch ludzi. Kocioł był duży jak konewka, a dym szedł rurką blaszaną jak cienki palec przez szparę w oknie. Maszyna doskonale obracała żarna lub tokarnię żelazną.

Franciszek Radwan terminował u lichego majstra a mimo to był świetnym malarzem dekoracyjnym i kompozytorem w ornamentyce. Wszyscy trzej umarli na suchoty.

W Makowie żyje Fr. Kumor, zegarmistrz, który sam się tego kunsztu wyuczył, ale kto mu raz dał zegarek do naprawy, pan czy ksiądz, to i zdaleka pocztą prosi go o reperacyę, bo wie, że będzie miał spokój na długo. A jakie ten samouk ma mechaniczne pomysły! Szkoda, że się nie ruszył w świat między ludzi.

We Wieprzcu, ad Osielec, widziałem mechaniczny niby młynek do czyszczenia zboża, gdzie kilka drewnianych młotków za pomocą korby uderza o podstawę z desek, na którą wysypane ziarno wpada na sita i sieje się.

We wsi Gruchyni jest kowal Listwan (może kiedy było Istwan) którego siekiery są sławnie ostre i wytrzymałe. Tak dobrze umie on je hartować.

Można by tu wspomnieć wsiowych snycerzy w Gruchyni Batosa i Piroga. Widać, jakby oni umieli użyć dłutka i w najtrudniejszej robocie, ale nie wiedzą, co robić. Brak artystycznej wiedzy.

W tejże wsi jest chłop, który dzieli i wymierza grunta, często z polecenia c. k. Sądu; a robi to tak dobrze, że ani geometra ani sąsiad niema nic do poprawienia. Ciekawa rzecz, jak sobie taki radzi przy różnych wandotach, potoczkach i nierównościach, bo nie umie ani czytać, ani pisać i nie wie nic o istnieniu matematyki i geometryi.

W Żarnówce przy Makowie żył Marcinek Józek, wyrobnik, który wierszami mówił, ale nie tak np. chodzić, robić, gdzie się czasownik z czasownikiem składa. On bez żadnego naciągania najswobodniej mówił doskonałym wierszem, rymując do słów cudzych. Sławne były jego epopeje o szewcach makowskich. Szkoda, że nie umiał ani pisać ani czytać.

Z Makowa pochodził, niegdyś znany malarz Grzywiński samouk, prostak. Ale malował portrety po dworach, obrazy na Kalwaryi w kaplicy Piłata, itd. Profesor Łepkowski w »Sztuce« wspomina o nim. Gdyby ten choć widział jaką akademię sztuk pięknych, byłby pewno sławnym malarzem na świecie. Już 50 lat jak umarł.

W Zembrzycach ad Sucha, niejaki Michał Wacław, porządny chłopiec, dobrze rysował żywe osoby z natury i bardzo gładko wykończał. Tamtejsza dziedziczka p. Znamięcka, bogata a bezdzietna, znała go, bo to syn jej długoletniego oficyalisty, jednak nie ułatwiła biedakowi, żeby mógł choć który kurs szkoły przemysłowej w Krakowie ukończyć, ale na Rzym, na murzynów, i chińskie dzieci posyłała tysiące!

Zdolniejszy od tego, jest w Jachówce 10-cio letni Kazimierz Jończyk. Ten z łatwością rysuje ludzi i zwierzęta i trafia doskonale.

Ale słynne w okolicy było niedawno dziewczę szkolne w Trzebini. Rysowała ona udatnie ludzi i zwierzęta, a tak jej

było łatwo narysować konia frontem »an fas« (en face), jak i bokiem (en prophil). Teraz służy za dziewkę do krów w Tyńcu!

Że też to nauczyciele nie piszą do gazet o takich wyjątkowych zdolnościach! Może by się znalazł jaki dobrodziej, albo wielki bogacz na obraz i podobieństwo Boskie, któryby założył bursę dla talentów, a nie, jak dotąd dla skromnych i spokojnych chłopców, (znamy te skromności) albo dla paralityków nieuleczalnych, bo taki już socyalistą nie będzie. Jak ci nasi panowie nie niechcą patrzyć w przyszłość, tylko w stecz. W historyi są niektórzy tylko przez to sławnymi, że drugim otworzyli drogę do sławy. Ale moralnie umarli widać nie chcą już nawet żadnej sławy.

A jeżeli u nas giną męzkie talenty, to żeńskie jeszcze bardziej. Któż wie, ile to Modrzejewskich*) krowy doi i wyrzuca nawóz.

Pewna Marya Dutkowna małomieszczanka, miała głos tak dźwięczny, tak rozkoszny a silny, że gdy śpiewała na chórze w kościele, trzeba było tylko zamknąć oczy i słuchać i unosić się, sercem i duszą ponad ziemskie raje wiecznej młodości i wiosny, hen gdzieś aż ku bramom niebios, dokąd płynęło jej cudne i rzewne śpiewanie. Dziś jest starą babą zgiętą od pracy i biedy, a tak nietrudno mogła pokierować się inaczej.

Niejaka Marysia Kozianowna zadziwiała w szkole ludowej pięknem pismem. Byłabyto sławna kaligrafistka.

A jakie pamięci się u ludu trafiają. Niedawno w Makowie umarła jedna komornica Magda Kumor, która na żądanie mogła powtórzyć kazanie, jakie ksiądz powiedział przed dwoma, lub trzema laty, w to a w to święto.

W Żarnówce przy Makowie, żył niejaki Mazurek, skrzypek weselowy. Szkoda, że go nie słyszał jaki znawca muzyki. On grając krakowiaka, rozwijał go w nieskończone warjacye, wywijasy i ozdoby, a w tem samem tępie, czystem, jasnem tonem grając.

Wspomnijmy teraz chociaż jednego siłacza chłopa. Sienkiewicz nie przesadza nic w opisie swoich bohaterów. Takich Zawiszów znalazłoby się między ludem dosyć.

Na Makowskiej Górze żył niedawno gospodarz Gwoźdź Józef. Ten do budowy chałupy wszystko drzewo sam sobą zwiózł z lasu i to tak: Przodek wozu sam obrócił dyszlem ku sobie. Między kołami położył tram grubszym końcem a dyszel przywiązał do drzewa, potem cieńszy koniec drzewa na ramię i wio naprzód! Pchał tak przed sobą do stromej góry może dwa kilometry z jachowskiego lasu. A gdy się bitka trafiła, bo i to bywało, to napastnicy odlatywali od niego daleko ponad płoty, do góry nogami, jakby rzucani w powietrze siłą jakiej parowej machiny. I taki siłacz żył, jak zwykle, ziemniakami; ale powiadają, że ich zjadał na raz blizko ćwierć. Gdy dom budował, sam jeden wynosił gotowe krokwie nad pułap i ustawiał. Raz po deszczu, pośliznął

*) Modrzejewska sławna artystka polska.

się i runął z budowy razem z krokwią, i to na kamienie i różne kołki, wskutek czego umarł.

Trafiają się także i filozoficzne talenty. Księża to nieraz mieli dość kłopotu z dewotami i dewotkami, którzy ich brali na dysputy teologiczne, np. familia Jaworków w Żarnówce. O chłopach adwokatach już nie wspominam. O tych doktorowie praw dosyć anegdot wiedzą.

Wspomina się tu o talentach tylko w jednej okolicy naszego kraju, a ileż ich jest dalej?! Zatem talentów mamy dosyć. A w rezultacie co? Miernoty na stanowiskach, miernoty przy honorach, miernoty przy władzy, a jak się samodzielniejszy talent pokaże, to łup go w łeb, bo to niebezpieczny człowiek, on by ich przeszedł i pokonał ich niedołęztwo.

Mimo talentów doszliśmy do tego, że w małem miasteczku, gdzie jest najwięcej szewców, tam butów niema kto zrobić. Tak samo rzecz się ma i z krawcami. I p. p. urzędnicy, którzy by bądź co bądź najwięcej zarobku dać mogli, muszą się po wszystko udawać do większego miasta i to nie z grymasu, ale z musu! Miejscowym dostają się tylko reparacyjki do roboty, a i to im nie zawsze powierzyć można dla braku uczciwości.

Właściwie nasz lud nie zna żadnych przewodników. Ma tylko niby opiekunów i pasterzy, którzy go zaganiają jak owce, aby się broń Boże nie posunęły zanadto naprzód. Oni mają obowiązek względem ludu tylko zasądzać do kozy, kląć i besztać, gdzie się da i brać daniny. A kto ostrzej beszta i pięściami grozi, ten uchodzi za najgorliwszego obrońcę ludu i dobrodzieja, pewny łask i względów wysokich dygnitarzy, którymi są również miernoty i ograniczone pałki. A to besztanie robi taki skutek, jak kiedy deszcz pada na świeży cement, który jeszcze bardziej twardnieje. Pouczają, że każdy powinien tylko dbać o siebie a wszystkim dobrze będzie. A więc zabraniają ludowi tego przymiotu, który by go w pożyciu najwięcej od zwierząt odróżniał, t. j. łączności. Wszak i lis broni swego gniazda i dba o swoje młode lepiej, niż niejeden człowiek; jednak gniazda innych lisów nic go nie obchodzą,—chociaż i niektóre zwierzęta bronią się gromadnie. Ale człowiek, według ich nauki powinien być samojednikiem, egoistą! to też w takiem małem miasteczku każdy chce żyć tylko dla siebie, jeden drugiego nienawidzi, nawet by mu to, co ma, ukradł, żeby tylko mógł. I dlatego razem wszystkich jedna bieda bije, a częstokroć wprost rozpaczliwa nędza. Właśnie z tej ogólnej wzajemnej nienawiści, bezradności i nędzy korzysta kilku sprytnych miejscowych matadorów, którzy się łatwo panoszą i władzę pod siebie zagarniają; bo w mętnej wodzie najlepiej się ryby łowią. Ale czyż ci szczęśliwi a chciwi matadorzy mogą być przewodnikami tego ludu? Chyba, że nie! Jak w naszej ziemi leżą skarby bezużytecznie, tak i zdolności naszego ludu marnieją. Boże! Czy u nas, w tej nieszczęśliwej naszej Ojczyźnie, będzie kiedy lepiej? *Ant. Stopa.*

KRZYŻACKA MAĆ.

(Według powieści Sienkiewicza p. t. „KRZYŻACY“.)

(Ciąg dalszy.)

— Niech Wasz książęcy majestat wspomni też i na to, odezwał się Hugo de Danveld, że nasi goście i swywolnicy krzywdzą jeno świeckich i nie należących do niemieckiego plemienia ludzi, wasi zaś przeciw niemieckiemu Zakonowi rękę podnoszą, przez co samego Zbawiciela obrażają. A jakichże mąk i kar dosyć na krzywdzicieli krzyża?

— Słuchaj! — rzekł książę — Bogiem nie wojuj, bo go nie oszukasz!

I położywszy ręce na ramionach Krzyżaka, potrząsnął nim silnie, on zaś stropił się zaraz i począł łagodniejszym głosem:

— Jeżeli prawda, że goście pierwsi naszli Juranda i że nie odesłali ludzi, nie pochwalę im tego, ale czy istotnie Jurand przyjął wyzwanie?

To rzekłszy, począł patrzeć na pana de Fourcy, mrugając przytem nieznacznie oczyma, jakby mu chcąc dać do zrozumienia, żeby zaprzeczył, lecz ów, nie mogąc, czy nie chcąc tego uczynić, odrzekł:

— Chciał, byśmy odesławszy ludzi, samotrzeć się z nim potykali.

— Pewni jesteście?

— Na moją cześć! Ja i de Bergow zgodziliśmy się, ale Majneger nie przystał.

W tem książę przerwał:

— Starosto ze Szczytna! Wy lepiej od innych wiecie, że Jurand nie uchybi wyzwaniu.

Tu zwrócił się do wszystkich i rzekł:

— Któryby z was chciał go pozwać na pieszą, alibo na konną walkę, daję na to pozwoleństwo. Jeśliby Jurand był zabit lub pojman, pan Bergow wyjdzie bez okupu z niewoli. Więcej odemnie nie żądajcie, bo nic nie wskóracie.

Lecz po tych słowach zapadła cisza głęboka i Hugo de Danveld, i Zygfryd de Löwe, i brat Rotgier, i brat Gotfryd, jakkolwiek mężni, zbyt dobrze znali strasznego dziedzica Spychowa, by którykolwiek z nich podjął z nim walkę na śmierć i życie. Mógł to uczynić chyba człowiek obcy, pochodzący z dalekich stron, jak de Lorche i de Fourcy, ale de Lorche nie był obecny przy rozmowie, zaś pan de Fourcy nadto pełen był jeszcze wewnętrznego przerażenia.

— Raz go widziałem — mruknął z cicha — i nie chcę widzieć więcej.

Zaś Zygfryd de Löwe rzekł:

— Zakonnikom nie wolno jest w pojedynczej walce się potykać, chyba za osobnem mistrza i wielkiego marszałka pozwoleniem, ale my tu nie pozwoleństwa na osobną walkę żądamy, jeno

by de Bergow był z niewoli wypuszczon, a Jurand na gardle skazan.

— Nie wy prawa w tej ziemi stanowicie.

— Bośmy do tej pory cierpliwie ciężkie sąsiedztwo znosili. Ale mistrz nasz potrafi wymierzyć sprawiedliwość.

— Zasię mistrzowi i wam do Mazowsza!

— Za mistrzem stoją Niemcy i cesarz rzymski.

— A za mną król polski, któremu więcej ziem i narodów podlega.

— Czy Wasza Książęca Mość chce wojny z Zakonem?

— Gdybym chciał wojny, nie czekałbym was na Mazowszu, jeno szedł ku wam, ale ty mi nie groź, boć się nie boję.

— Cóż mam donieść mistrzowi?

— Wasz mistrz o nic nie pytał. Mów mu co chcesz.

— Tedy sami wymierzym karę i pomstę.

Na to książę wyciągnął ramię i począł kiwać groźnie przy samej twarzy Krzyżaka..

— Waruj się! — rzekł stłumionym przez gniew głosem — waruj się! Jam ci pozwolił wyzwać Juranda, ale gdybyś z wojskiem zakonnem wdarł mi się do kraju, tedy na cię uderzę — i więźniem, nie gościem, tu osiądziesz.

I widocznie cierpliwość jego była już wyczerpana, gdyż cisnął ze wszystkich sił czapką o stół i wyszedł z izby.

Krzyżacy pobledli ze wściekłości, a pan de Fourcy spoglądał na nich jak błędny.

— Co tedy będzie? — spytał pierwszy brat Rotgier.

A Hugo de Danveld przyskoczył niemal z pięściami do pana de Fourcy.

— Po coś powiedział, że wyście pierwsi naszli Juranda?

— Bo prawda!

— Trzeba ci było zełgać.

— Jam tu przyjechał bić się, nie łgać.

— Tego się biłeś ni słowa!

— A tyś nie pomykał przed Jurandem do Szczytna.

— Pax! — rzekł de Löwe. — Ten rycerz jest gościem Zakonu.

— I wszystko jedno, co mówił — wtrącił brat Gotfryd. — Bez sądu nie skazaliby Juranda, a na sądzie rzeczby musiała wyjść na wierzch.

— Co tedy będzie? — powtórzył brat Rotgier.

Chwilę milczeli, poczem ozwał się zawzięty Zygfryd de Löwe:

— Trzeba z tym krwawym psem raz skończyć, de Bergow musi być z więzów wydobyty. Ściągniem załogi ze Szczytna, z Insburka, z Lubawy, wezwiem chełmińską szlachtę i uderzym na Juranda... Czas z nim skończyć!

Lecz przebiegły Danveld, który umiał każdą rzecz na obie strony rozważyć, założył obie ręce na głowę, namarszczył się i po namyśle rzekł:

— Bez pozwolenia mistrza nie można.

— Jeśli się uda, to i mistrz pochwali! — ozwał się brat Gotfryd.

— A jeśli się nie uda, jeśli książę ruszy kopijników i uderzy na nas?

— Jest pokój między nim i Zakonem; nie uderzy!

— Ba! jest pokój, ale my go pierwsi naruszym. Załogi nasze przeciw Mazurom nie wystarczą.

— To mistrz ujmie się za nami i będzie wojna.

Danveld znów się namarszczył i zamyślił:

— Nie! nie! — rzekł po chwili. — Jeśli się uda, mistrz będzie w duchu rad... Pójdą posły do księcia, będą układy, i ujdzie nam bezkarnie. Ale w razie klęski, Zakon nie ujmie się za nami i wojny księciu nie wypowie... Innegoby na to trzeba mistrza... Za księciem stoi król polski, a z nim mistrz nie zadrze...

— Wszelako wzięliśmy ziemię dobrzyńską, to widać nie strach nam Krakowa.

— Bo były pozory... Wzięliśmy niby zastaw, a i to...

Tu obejrzał się naokół i zniżonym głosem dodał:

— Słyszałem w Malborgu, iż gdyby wojną grozili, to byle nam zastaw zwrócono, oddamy.

— Ach! — rzekł brat Rotgier — gdyby tu między nami był Markward Salzbach, albo Szomberg, który szczenięta Witoldowe wydusił, ci znaleźliby radę na Juranda. Cóż Witold namiestnik Jagiełłów! Wielki kniaź, a pomimo tego Szombergowi nic... Wydusił Witoldowe dzieci, i nic mu!... Zaprawdę, brak pomiędzy nami ludzi, którzy na wszystko potrafią znaleźć sposób...

Usłyszawszy to Hugo de Danveld, wsparł łokcie na stole, głowę na rękach i na długi czas zatopił się w rozmyślaniu. Nagle rozjaśniły mu się oczy, obtarł wedle zwyczaju wierzchem dłoni wilgotne, grube wargi i rzekł:

— Błogosławiona niech będzie chwila, w której wspomnieliście, pobożny bracie, imię mężnego brata Szomberga.

— Czemu tak? Zaliście coś obmyślili? — spytał Zygfryd de Löwe.

— Mówcie żywo! — zawołali bracia Rotgier i Zygfryd.

— Słuchajcie — rzekł Hugo. — Jurand ma tu córkę, jedyne dziecko, którą jak źrenicę oka miłuje.

— Ma! znamy ją. Miłuje ją i księżna Anna Danuta.

— Tak. Otóż słuchajcie, gdybyście porwali tę dziewkę, Jurand oddałby za nią nie tylko Bergowa, ale wszystkich jeńców, siebie samego i Spychów w dodatku!

— Na krew świętego Bonifacego przelaną w Dochum! — zawołał brat Gotfryd — byłoby tak jako mówicie.

Poczem zamilkli, jakby przestraszeni śmiałością i trudnościami przedsięwzięcia. Dopiero po chwili brat Rotgier zwrócił się do Zygfryda de Löwe.

— Rozum wasz i doświadczenie — rzekł — równe są męstwu, co tedy o tem mniemacie?

— Mniemam, że sprawa warta rozwagi.

— Bo — mówił dalej Rotgier — dziewka jest przyboczną księżny, ba, więcej. gdyż prawie córką umiłowaną. Pomyślcie bracia, jaki powstanie hałas.

A Hugo de Danveld począł się śmiać:

— Samiście mówili — rzekł — że Szomberg wytruł, czy też wydusił Witoldowe szczenięta, i cóż mu zato? Hałas oni z byle przyczyny podnoszą, ale gdybyśmy posłali mistrzowi Juranda na łańcuchu, czeka nas pewniej nagroda, niż kara.

— Tak — odezwał się de Löve — sposobność do najazdu jest. Książę wyjeżdża. Anna Danuta zostaje tu jeno z dworskiemi dziewki. Jednakże najazd na dwór książęcy w czasie pokoju — nie byle sprawa. — Dwór książęcy nie Spychów. To znów jak w Złotoryi! Znów pójdą skargi do wszystkich królestw i do papieża, na gwałty Zakonu, znów odezwie się z groźbą przeklęty Jagiełło, a mistrz — znacie go przecie: rad on uchwyci, co się da uchwycić, ale wojny z Jagiełłą nie chce... Tak! krzyk się podniesie we wszystkich ziemiach Mazowsza i Polski.

— A tymczasem kości Juranda zbieleją na haku — odparł brat Hugo. — Kto wreszcie mówi wam, by ją tu z dworca z pod boku księżny porywać?

— Przecie nie z Ciechanowa, gdzie prócz szlachty jest trzystu łuczników.

— Nie. Azali Jurand nie może zachorzeć i przysłać ludzi po dziewkę? Nie wzbroni jej tedy księżna jechać, a jeśli dziewka w drodze przepadnie, kto powie wam, lub mnie: »Tyś ją porwał!

— Ba! — odrzekł zniecierpliwiony de Löwe — sprawcie, by Jurand zachorzał i dziewkę wezwał...

— Mam ci ja u siebie złotnika, który z Malborga za złodziejstwo wypędzon, w Szczytnie osiadł i który każdą pieczęć wyciąć potrafi; mam i ludzi, którzy, choć nasi poddani, z mazurskiego narodu pochodzą... Zali mię jeszcze nie rozumiecie?...

— Rozumiem — zawołał z zapałem brat Gotfryd.

A Rotgier podniósł dłonie do góry i rzekł:

— Niech ci Bóg szczęści, pobożny bracie, bo ni Markwart Salzbach, ni Szomberg, nie znaleźliby lepszego sposobu.

Poczem przymrużył oczy, jakby chciał dojrzeć coś dalekiego:

— Widzę Juranda — rzekł — jako z powrozem na szyi stoi przy Gdańskiej bramie w Malborgu i jako go kopią nogami knechty nasze...

— A teraz do Szczytna nam jak jak najprędzej! — zawołał Danveld.

Jednakże przed wyruszeniem do Szczytna poszli jeszcze Krzyżacy pożegnać księcia i księżnę. W chwili gdy Zygfryd de Löwe całował rękę księżnej, Hugo de Danveld zbliżył się do Danusi, położył dłoń na jej głowie i głaszcząc ją, rzekł:

— Nam przykazano dobrem za złe płacić i miłować nawet nieprzyjaciół naszych, więc przyjedzie tu siostra zakonna i przywiezie wam, panienko, gojący balsam hercyński.

— Jako-że mam wam dziękować, panie? — odpowiedziała Danusia.

— Bądźcie przyjaciółką Zakonu i zakonników — rzekł z przymileniem Hugo de Danveld.

Gdy Krzyżacy odjechali o jakie stajanie drogi od zimowego dworca, de Danveld zwrócił się z chytrym uśmiechem do towarzyszy:

— Obiecałem tej dziewce — rzekł — balsam gojący dla tego młodego rycerza, który od tura pobit i z którym, jako wiecie, jest zmówiona. Jeśli podniosą krzyk po pochwyceniu dziewki, powiemy, żeśmy nie tylko niechcieli jej krzywdy, ale jeszcześmy jej balsam przez miłosierdzie chrześcijańskie posłali.

— Dobrze — rzekł de Löwe. — Trzeba jednak posłać kogoś pewnego.

— Poślę jedną niewiastę, całkiem zakonowi oddaną. Przykażę jej patrzeć i słuchać. Gdy ludzie nasi niby od Juranda przybędą, znajdą gotowe porozumienie...

— Takich ludzi trudno będzie dobrać.

— Nie. Naród u nas mówi tym samym językiem. Są też w mieście, ba! nawet między knechtami w załodze ludzie, którzy prawem ścigani z Mazowsza zbiegli, zbóje, złodzieje, prawda, ale żadnej trwogi nie znający i na wszystko gotowi. Tym obiecnę, jeśli wskórają, wielkie nagrody, jeśli nie wskórają, powróz.

— Ba! a nuż zdradzą?

— Nie zdradzą, bo na Mazowszu każdy dawno na łamanie kołem zarobił i nad każdym wyrok cięży. Trzeba im jeno dać ochędożne szaty, aby ich za prawych Jurandowych pachołków poczytano, i główna rzecz: list z pieczęcią od Juranda.

VII.

Po wyjeździe krzyżackich gości, zwróciła się księżna Anna Danuta do męża z prośbą, aby w nagrodę za męstwo Zbyszka i za ratunek, jaki dał na łowach jej i Danusi, pasował go książę na rycerza, zaraz jak tylko Bóg mu zdrowie powróci:

— Niczego Zbyszko tak nie pragnął, tak rad niewidział, jak rycerskiego pasa i złotych ostróg. Obiecnijcież mu je, panie!... a taka radość to i z choroby go łacniej podźwignie — prosiła dobra księżna, składając dłonie.

Książę uśmiechnął się dobrotliwie i odrzekł:

— Niema co czekać i obiecywać, niech mu je dziewczyna zaraz poniesie, a gdy go krzypota opuści, wówczas dopilnujem, aby wszystko wedle zwykłego obyczaju się odbyło. Niech mu wnet poniesie, bo prędka radość najlepsza!

Księżna, usłyszawszy to, uściskała pana w obec dworzan, poczem ucałowała kilkakrotnie jego ręce i poleciła jednemu z dworzan, aby bezzwłoczoie przywołał Danusię. I po chwili, we drzwiach bocznej komory, ukazała się Danusia, z zaczerwienionemi od bezsenności oczyma i z dwojakami w ręku, pełnymi dymiącej kaszy, którą ksiądz Wyszoniek okładał potłuczone kości Zbyszka, a którą stara dwórka właśnie przed chwilą jej oddała.

(C. d. n).

Krzywdy i nadużycia.

Co się dzieje w Rosyi pod panowaniem cara i jego zbirów. W Warszawie, przed sądem tamtejszym, toczyła się rozprawa o barbarzyństwo, godne rozpowszechnienia w dziennikach świata całego.

Oto w mieście Siedlcach zginęło w aptece z kasy 72 rb. Podejrzenie padło na laboranta Sadowskiego. Oddano go w ręce policmajstra Arnolda, młodego, 37-letniego czynownika. Sadowskiego uwięziono i poddano śledztwu; nie chciał, bo nie mógł przyznawać się do winy niepopełnionej wcale. Ponieważ nie chciał się przyznać do winy niepopełnionej, więc go policmajster kazał wziąść na tortury. Bito go i siekano tak, iż 812 centymetrów kwadratowych ciała zajęła jakby jedna rozlana rana. Jak strasznem musiało być położenie nieszczęsnego, dowodzi fakt, iż nie mając żadnego innego sposobu, dwukrotnie popełniał samobójstwo, którego obraz urąga wszelkiej znanej grozie a ścina krew w żyłach. Oto dwukrotnie rzucił się do. dołu kloacznego, chcąc się utopić w kale więziennym.

Lecz udaremniono mu i ten jedyny rozpaczliwy sposób uwolnienia się od śledztwa i od życia. Pospieszono mu na ratunek, pod osobistym nadzorem pana policmajstra Arnolda, który kazał ofiarę litościwie wykąpać, obmyć i — na nowo ćwiczyć pletniami. Ztorturowana ofiara w końcu uznała jedyny jeszcze dla siebie ratunek w przyznaniu się do niepopełnionej winy.

Tryumf władzy był zupełny. Szło teraz o wydobycie odpowiedzi z delikwenta na pytanie, gdzie ukrył skradzione 72 ruble? Ach teraz on pokaże już sam. Przystał z ochotą, twarz mu się ożywiła, oczy błysnęły jakąś utajoną nadzieją. Ukrył przezornie, ukrył, dobrze ukrył. Gdzie? W piwnicy pana aptekarza. Pokaże z ochotą nawet to miejsce. — Więc posiepaki władzy wiozą z tryumfem swą ofiarę do piwnicy. Tu Sadowski wskazuje miejsce, gdzie zakopał pieniądze wśród materyałów aptecznych. Zabierają się do odkopania ich, a w tej chwili desperat chwyta jedną butlę (znaną sobie) z kwasem siarczanym, przykłada do ust i pije na śmierć.

Przerwano mu, lecz za późno. Twarz nieszczęsnego pogodnieje, a on umierając, oświadcza: »Nie ukradłem,« za chwilę stanę przed sądem Boga, wyznaję jedynie prawdę, nie ukradłem Proszę o księdza z Panem Bogiem. Przybył namiestnik Władzy Najwyższej, który pośredniczył w przedśmiertnem zeznaniu nieszczęśliwej ofiary i zaniósł je przed tron Majestatu Boskiego wraz z modlitwą za umierającego. Bóg ją wysłuchał i powołał niewinną ofiarę barbarzyńskiej przemocy do siebie. Sadowski skonał, śmiercią dając świadectwo prawdzie.

Arnolda, tego łotra i barbarzyńcę większego od najdzikszego zwierzęcia — skazał sąd rosyjski tylko na 2 miesiące odwachu.— Tak wygląda moskiewska sprawiedliwość, takie są sądy moskiewskie i takie rzeczy dzieją się pod panowaniem cara. I u nas są jeszcze ludzie, którzy chwalą cara i jego rządy. Chwalą z daleka, ale tam iść jakoś nie chcą i siedzą tutaj.

SPRAWY LUDOWE.

Centralny komitet ratunkowy Tow. Kółek rolniczych wniósł do ministerstwa kolejowego ponowną petycyę o dalsze rozszerzenie zniżek taryfowych dla ludności dotkniętej klęskami elementarnemi. Ulgi taryfowe bowiem doznały wprawdzie rozszerzenia co do osób, które mogą korzystać z taryfy wyjątkowej i co do powiatów, na które taryfa ta się rozciąga. Natomiast wysokość taryfy pozostała nie zmienioną a również i zakres przedmiotów, na które taryfa się rozciąga, pozostał jak dawniej, bardzo szczupłym. Otóż komitet zażądał od ministerstwa, by zastosowano taryfę wyjątkową II. Wszystkie artykuły, wymienione w pozycyi G-g. to jest na wszystkie zboża, których transport odbywa się dotąd bez wszelkich zniżek na podstawie taryfy specyalnej I. Jak wysoka jest obowiązująca obecnie taryfa, poznać najlepiej z tego, że przewóz wagonu kukurydzy ze stacyi Nowosielica na Bukowinie do Bochni kosztuje 238 Kor. wagon żyta z Czortkowa do Krakowa 242 Kor., czyli że nawet przy transporcie wagonowym na każdym centnarze metrycznym płaci się kolei 2 Kor. 42 h. Przy tej taryfie ludność dotknięta klęską powodzi nie może się zaopatrzyć w zboże z okolic, które miały lepsze zbiory.

WIADOMOŚCI ZE SWIATA.

Wiedeń. Dnia 12 grudnia parlament wiedeński został odroczony nie wiedzieć na jak długo. To przedwczesne zamknięcie parlamentu spowodowała obstrukcya ze strony posłów czeskich, którzy uniemożliwili wszelką pracę parlamentarną. Smutny to objaw dla życia konstytucyjnego w Austryi, bo znów rozpoczną się rządy paragrafem 14 bez parlamentu i zwolna ludy monarchii austryackiej przechodzą pod panowanie wstrętnego absolutyzmu. Sytuacya polityczna pogarsza się z dnia na dzień a ani parlament ani rząd nie myśli o uzdrowieniu tych haniebnych stosunków, które najbardziej odbijają się na skórze chłopskiej.

Wiedeń. Dnia 15 b. m. zebrały się we Wiedniu wspólne delegacye, tj. austryacka i węgierska, by obradować nad wspólnymi wydatkami monarchii austro-węgierskiej. Przedłożony delegacyom wspólny budżet na rok 1904 wynosi ogólną sumę **374** milionów **975** tysięcy **369** koron, w porównaniu z rokiem 1903 **więcej** o milion 957 tysięcy 546 koron. Lwią część z tej olbrzymiej sumy wspólnego budżetu pochłania jak zwykle armia! Sam nadzwyczajny podatek na nabycie nowych haubic i materyału dla dział górskich wynosi **15 milionów koron**! W Austryi jest to rzecz znana, że na podniesienie rolnictwa i oświaty, na pomoc i ulgi dla ludności ginącej z głodu skutkiem doznanych klęsk elementarnych, nie ma środków, ale na wojsko i na armaty w mig pieniądze się

znajdą. Oby to jarzmo ciężarów z powodu armii mógł lud zrzucić z siebie jak najprędzej a wówczas dopiero odetchnie.

Francya. W mieście Sen Etjen odbył się wielki zjazd przyjaciół ludzkiego zdrowia, a uczestnicy jego obradowali głównie nad sposobami zwalczania gruźlicy czyli suchot i nad sposobami zwalczania wśród ludzi nałogu lub zwyczaju używania trunków. Dalszemi sprawami, nad któremi obradował zjazd, były: budowa tanich a zdrowych mieszkań dla robotników, oraz zakładanie stowarzyszeń spożywczych, a więc sklepów z towarami, niezbędnemi do codziennego domowego użytku.

Turcya. Sułtan turecki upiera się, jak może, by rządy Austryi i Rosyi nie dały mu swoich ludzi do pomocy w rządzeniu Macedonią. Jednakże nastąpi to napewno. W Petersburgu i w Wiedniu już nawet mają upatrzone na stanowiska te osoby i nie mianują ich dlatego jedynie, żeby zrobić sułtanowi grzeczność i zapytać go o zgodę.

Tymczasem zrobiono szczegółowe obliczenia strat w ludziach, poniesionych przez strony walczące w Macedonii. I okazało się, że Turcy ogółem stracili 42 oficerów i 780 szeregowców zabitych, oraz 7200 ranionych, powstańcy zaś mieli utracić 1200 osób zabitych i 7000 rannych. Prócz tego zabito znaczną liczbę ludzi, nie należących do powstania. Spalono 72 wsi lub miasteczek.

Sułtan udał się na pokład okrętu »Stambuł , ponieważ krążyły nowe wieści o knowanych spiskach.

Walka z trunkami. W jednym z krajów Ameryki Północnej, mianowicie w stanie Nowa Dakota, tak bardzo ograniczonem zostało użycie trunków rozpalających, że n. p. spirytus sprzedawany tam bywa tylko w aptekach, jako lekarstwo. Chcący w aptece kupić spirytusu, musi posiadać w dodatku świadectwo lekarza, wyjaśniające, na co i ile alkoholu ma wydać aptekarz. Prócz tego istnieje w Nowej Dakocie zastrzeżenie, że jednej i tej samej osobie nie wolno zbyt często spirytusu sprzedawać. A przepisy przestrzegane są bardzo ściśle przez władze miejscowe. To też nałogowcy, którzy od picia wódki niby odwyknąć nie mogą, muszą po spirytus jeździć poza granice swego kraju.

Błogosławiony istotnie kraj, w którym ludzie doszli już do tej świadomości, że zatruwanie ciała wódką do niczego dobrego nie doprowadza. A my? Wszak przepijamy rocznie aż 150 milionów koron.

W kopalni węgla Montenje w Belgii zerwała się lina u kosza, w którym 12 górników zjeżdżało w głąb kopalni. Kosz spadł na dno szybu z wysokości przeszło 400 łokci i wszyscy górnicy znaleźli śmierć na miejscu, przyczem zmiażdżone zwłoki ich były do niepoznania.

W niemieckiem mieście Desau, niejaka Fiszerowa, młoda kobieta pokazywała publiczności 10 wybornie obuczonych lwów, wśród których chodziła bez lęku i kazała im pokazywać różne sztuki. Gdy lwy skakały niechętnie przez papierowe obręcze, wtedy Fiszerowa jedno niesforne zwierzę uderzyła kilka razy prętem, trzymanym w ręce. Lew wpadł w wściekłość i uderzył pogromicielkę

łapą tak silnie w głowę, że w okamgnieniu wyzionęła ducha, poczem lew rozszarpał ciało zabitej na kawałki. Z trudnością oderwano go od resztek. Publiczność uciekła z przedstawienia w dzikim popłochu.

Dżuma w Indyach. Wraz z nastaniem jesieni, dżuma szerzy się w Indyach gwałtownie. W pierwszym tygodniu października liczba zmarłych wynosiła 14 tysiecy; z tego wypada na samą okolicę bombajską 9 tysięcy. Szczepienie dżumy, jak u nas ospy, okazało się skuteczne, bo z 1.200 osób zaszczepionych, tylko 12 na dżumę zachorowało, a tylko jedna zmarła. Wobec jednak niepokonanego uporu Indusów, niepodobna zaprowadzić tam szczepienia przymusowego. Widocznie ludzie czarni, czy żółci, czy biali, zarówno są uparci w nieprzyjmowaniu bodajby najlepszych, ale nowych rzeczy.

Chiny. Gazety angielskie donoszą, że w prowincyi Czentsan wynikło znów prześladowanie chrześcijan i przybiera zatrważające rozmiary. Jednocześnie z wiadomości, nadchodzących z państwa chińskiego, można miarkować, że istnieje tam ruch wojskowy; ci i owi jenerałowie otrzymali polecenie gromadzenia wojska. A obok tych wiadomości nadchodzą też i inne, świadczące o istnieniu w niektórych okolicach Chin strasznego głodu. Oto, co o tem pisze znajdujący się tam misyonarz. »W prowincyi Kwang-Si, na przestrzeni przeszło tysiąca wiorst, nędzę zastaliśmy większą, niż w jakiejkolwiek innej miejscowości. Sprzedawano tu mięso ludzkie na rynku publicznym, a były to zazwyczaj zwłoki straconych przestępców. Kobiety i dziewczęta sprzedawano setkami do Kantonu, oraz innych miast; według publicznego obliczenia sprzedano ich przeszło 10 tysięcy. Na ulicach, pod murem miejskim leżeli pokotem ludzie, którzy już umarli z głodu. Zaledwie który zamknął powieki, a wnet przynoszono z 4-ech desek zbitą trumnę, wrzucano w nią szybko zwłoki i wywożono za miasto aby je tam pochować.

Kronika i rozmaitości.

Prenumeratę na rok 1904 należy nam przysyłać pod adresem: **Administracya „Obrony ludu“ w Krakowie, ulica Pijarska l. 2.** Zakładamy nowe książki naszych prenumeratorów na rok 1904. Kto więc chce, aby mu gazetę w roku 1904 posyłano, niech natychmiast pospieszy z przysłaniem prenumeraty. Na przekazie należy wyraźnie wypisać imię i nazwisko, gminę i pocztę.

Zapytującym się, czy starzy prenumeratorowie mają prawo do zapomogi zaraz po zapłaceniu prenumeraty, czy dopiero po upływie 6 miesięcy, donosimy, że starzy prenumeratorowie, którzy od roku lub jeszcze dawniej prenumerują „Obronę ludu“, mają prawo do zapomogi **zaraz** po zapłaceniu **5 koron**, wszyscy zaś **nowi** prenumeratorowie nabywają tego prawa do zapomogi **po 6 miesiącach**, to znaczy, że dla nich musi upłynąć 6 miesięcy od dnia zapłacenia prenumeraty. N. p. ktoś całkiem nowy prenumerator zapłacił prenumeratę w grudniu, to nabywa prawa do zapomogi w maju: zapłacił w listopadzie, nabywa prawa już w kwietniu. Musieliśmy taki warunek postawić, bo byli tacy,

co na łożu śmiertelnem leżeli, ktoś za nich zapłacił i za parę dni zażądał zapomogi. bo chory umarł.

W Redakcyi naszej są do nabycia następujące bardzo piękne i pożyteczne książki:

1) Atlas (10 map dokładnych) do dziejów Polski. Cena 50 h. 2) Książeczka z opisem do atlasu 10 h. 3) „O Kościuszce." Duża piękna książka z ilustracyami w kolorach 1 K. 4) „Elementarz dla samouków" 70 h. 5) „Pieśni polskie" 10 h. 6) „Śpiewnik kościelny ks. Siedleckiego" 63 h. 7) „Nasze dzieje" (polskie) 13 h. 8) „Naród polski i jego ziemia" 13 h. 9) „O kościuszkowskiem powstaniu" 13 h. 10) „Sejmy polskie" 13 h. 11) „Pod Grunwaldem" 13 h. 12) Książka do nabożeństwa pod tytułem „U stóp krzyża" w oprawie w płótno po 1 K. 50 h., 1 K. 70 h., i 2 K., w skórkę 2 K., 2 K. 40 h., 2 K. 70 h., 2 K. 80 h., 3 K. 40 h. 13) Brewiarz tercyarski po 2, 3, 4 i 5 K.

Kalendarze na rok 1904 nabywać można w naszej Redakcyi po cenach następujących 1) „Gospodarz" wydanie droższe 80 h. 2) „Gospodarz" wydanie tańsze 60 h. 3) „Polski kal. Maryański" wyd. droższe 80 h. 4) „Pol. kalendarz Maryański" wyd. tań. 60 h. 5) „Polak" 80 h. 6) „Kalendarz powszechny" kartonowy 1 k. 60 h. 7) „Kalendarz powszechny" w płótno ozdobnie oprawny 2 Kor. Do droższego wydania należeć będą: „Kalendarzyk ścienny," kilka reprodukcyi obrazów znakomitych malarzy na lepszym papierze i książeczki wartości 20 h. 8) „Kalendarz Macierzy polskiej, dla rolników" 60 h. Kalendarze te przesyłać będziemy własnym kosztem, kto jednak chce być pewnym, że kalendarz do rąk jego dojdzie, zechce nadesłać na porto za recepisem 30 h. Za zaginione egzemplarze nie bierzemy odpowiedzialności. Każdemu wolno przez urząd pocztowy lub gminny reklamować. Wykazy osób, którym wyszlemy kalendarze, ogłaszać będziemy w odpowiedziach od Redakcyi.

Zakopane. W dodatku do „Głosu Narodu", wychodzącym co tygodnia pod tytulem „Tygodnik Zakopiański", umieszczony był artykuł o utworzeniu nowej klimatyki. Jesteśmy upoważnieni oświadczyć, że artykułu tego nie pisał Dr. Danielak i że wogóle dra Danielaka żadne stosunki nie łączą z tem pismem. Równocześnie odpowiadamy na zapytanie ks. P., że — jak nam wiadomo — redaktorem „Tygodnika Zakopiańskiego" jest ksiądz Dr. Dziadosz, katecheta z Przemyśla, przebywający obecnie na kuracyi w zakładzie Dra Chramca.

Co się tyczy wodociągów, to będą one zrobione w ciągu roku 1904, gdyż Sejm nietylko daje pożyczkę, ale i opłacać chce raty amortyzacyjne, Rada gminna zgodziła się na budowę wodociągów, a dawniejsi przeciwnicy sami obecnie sprawę gorąco popierają.

Sprostowanie. Otrzymaliśmy z Uścia solnego wyjaśnienie, że do rozdziału zapomóg dla powodzian tamtejszy burmistrz p. Gadowski zupełnie się nie mieszał, tylko sam p. hr. Dębicki dzielił według swego „widzimisię". Zarzuty skierowane w stronę p. Gadowskiego z całą przyjemnością prostujemy, a zarazem prosimy wszystkich korespondentów, by o zachodzących krzywdach i nadużyciach informowali Redakcyę tylko zgodnie z prawdą, bo niechcemy nikomu bezpodstawnie przykrości wyrządzać.

Wyjaśnienie. Zawiadomiono Redakcyę z wiarygodnego źródła, że ksiądz Kwiatkowski tylko skutkiem nadwątlonego zdrowia opuścił posadę wikaryusza i poprosił Najprz. Konsystorz o zwolnienie go z dyecezyi.

Poświęcenie budynku szkolnego. Dnia 2 grudnia dopełnił w Sułkowicach ksiądz kan. Opidowicz aktu poświęcenia nowego budynku na pomieszczenie tamtejszej c. k. szkoły kowalskiej. Na tę uroczystość przybył repre-

zentant kraju pan Romanowicz, który w swej mowie zachęcał młodzież do pilności a nauczycieli do szczerej i chętnej pracy. Bardzo chętnie przemówił naczelnik gminy Jan Bochenek jakoteż i dyrektor szkoły p. Smerczyński. Życzymy jak najpomyślniejszego rozwoju dla tej szkoły i jak największego pożytku z tejże.

Ze sali sądowej. Na półtrzecia roku ciężkiego więzienia z postem co tygodnia zasądził trybunał krakowski znanego Gustawa Węgrzyna, który wraz z dwoma innymi drabami fałszował pieniądze i puszczał je między biednych ludzi. Węgrzyn, inaczej zwany Weingryn, znany jest z tego, że kandydował na posła w Bochni i Wadowicach. Przedtem nosił on w lecie cegły w Krakowie, a w zimie sprzedawał słomianki. Zachciało mu się politykować, więc rzucił murarkę i zaczął jeździć po wiecach. Gdy brakło pieniędzy, dopuszczał się oszustw i tak oszukał pewną rodzinę unicką, za co dostał 4 miesiące, a teraz pójdzie do Wiśnicza na 2 i pół roku. Zamiast do Sejmu na 6 lat, wybrali go sędziowie jednogłośnie do Wiśnicza na półtrzecia roku.

Mylki drukarskie. Z przykrością zaznaczamy, że w ostatnich czasach w „Obronie ludu“ znachodziły się liczne pomyłki drukarskie, a nie wiemy, czy z opieszałości czy też z braku uwagi zecera, bo Redakcya z całą ścisłością przeprowadza poprawki. Błędy są rażące, poprzekręcane nazwiska, poprzekręcane słowa do tego stopnia, że zmieniają sens całego zdania, a nawet całego artykułu! W ostatnim numerze „Obrony ludu“ w artykule „Strata dla ludu“, wydrukowano słowo **„zgorszyło“** zamiast **„rozgoryczyło“**, co zupełnie myśl już nie zdania, ale całego artykułu zmienia.

Z piśmiennictwa: Onanizm. (Samogwałt). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Z 6 rycinami. 1 k. 20 h. Nakładem wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski) Berlin, Karlstr. 32.

Cierpienie, o którem tu mowa, należy może do najbardziej rozpowszechnionych a najmniej wyjaśnionych.

O klęsce onanizmu, oddawna ścigającej mniej lub więcej wszystkie narody, poprzednio milczano uporczywie; następnie wygłoszono niemało w rozmaitych językach, lecz dotąd nie napotkaliśmy jeszcze żadnego dzieła prawdziwie praktycznego, W wyżej wymienionym dziełku znajdą rodzice i wychowawcy, jak i sama młodzież płci obojga, najpożyteczniejsze drogowskazy, oparte na poglądach samodzielnych, wolnych od wszelkiej przesady i tem samem najbliżej odpowiadające istotnej potrzebie społecznej.

„Przewodnik zdrowia“, który wydał już bardzo pożyteczne dziełka jak: „Zakon małżeński“ „Pielęgnacya dziecka“ i t. d. polecamy gorąco tym wszystkim Czytelnikom, którym leży na sercu dobro powszechne naszego narodu. Katalog wydawnictwa żądać można pod adresem jak wyżej.

Treść: Nr. 11 (na listopad) „Przewodnika zdrowia“ zawiera: Ordynacki proces na zdrowie społeczeństwa naszego.— Proste zagrzewki do ziębnących nóg.— Naturalny sposób odświeżania piękności z (14 rycinami).— Dla czego gruszki są mniej strawne od innych owoców? —Jak obchodzić się z lampami naftowemi, uwzględniając zdrowie. — Przestrogi i rady. — Odpowiedzi redakcyi.

Z Religii. Katecheta zapytuje uczennicę w szkole:

— Powiedz mi czem możemy zgrzeszyć?

— Możemy zgrzeszyć słowem, czynem i ...... — (dalej nie wiedziała co powiedzieć, bo zapomniała, więc katecheta pogroził jej palcem).

— I palcem! — dodaje szybko dziewczyna.

Zapomoga na wypadek śmierci.

Jak w roku bieżącym, tak samo i w roku następnym **1904** będziemy wypłacać **dobrowolną zapomogę** na wypadek śmierci wdowom i sierotom po prenumeratorach „Obrony ludu“, a mianowicie tym, którzy

1) zapłacą z góry prenumeratę na cały rok w kwocie **5** koron;

2) którzy są prenumeratorami naszymi **przynajmniej pół roku,** to znaczy, jeżeli od dnia zapłacenia prenumeraty do dnia śmierci prenumeratora upłynie przynajmniej pół roku czyli 6 miesięcy;

3) zapomoga wynosić będzie od **20** do **100** Koron, a to zależnie od uznania Redakcyi „Obrony ludu“.

4) zapomogę wypłacają: ks. Szponder i Dr. Danielak;

5) gdy zajdzie wypadek śmierci prenumeratora, powinna wdowa po nim lub sieroty przysłać zaraz do Redakcyi kwit lub recepis pocztowy na dowód, że prenumerata zapłacona i od księdza kartkę na dowód śmierci.

* * *

Pieniądze na rok **1904** można przysyłać zaraz.

Adres: Administracya „Obrony ludu“ **w Krakowie ulica Pijarska l. 2.**

* * *

W roku bieżącym 1903-cim wypłaciła „Obrona ludu“ zapomóg w kwocie **2150 Koron.** Jaka to była dla biednych ludzi wielka pomoc i ulga w nieszczęściu, to wiedzieli ci wszyscy, którzy czytali podziękowania lub znają wdowy i sieroty zmarłych prennmeratorów „Obrony ludu“.

Pieniądze najlepiej przysyłać pocztą i recepis pocztowy schować.

* * *

Naturalnie nikogo nie zmuszamy do czytania „Obrony ludu“, kto chce niech ją prenumeruje i czyta, a komu się nie podoba, niech sobie weźmie inną gazetę.—

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. W. K. Krówkowej z Bierzanowa wypłaciliśmy 100 koron zapomogi, chociaż ona zupełnie nie zasługiwała na to, aby jej dawać zapomogę. Pieniądze posyłaliśmy na ręce ks. proboszcza, pragnąc, aby były obracane dla sierót po ś. p. Krówce, ale Krówkowa przychodziła do nas i prosiła, aby nie posyłać na ręce księdza. Nie ma ona więc czystego sumienia, jeżeli obawiała się stanąć przed

proboszczem. Różnie tam o niej ludzie mówią, ale jeżeli skrzywdziła inne wdowy i sieroty, to jej te pieniądze nie wyjdą na pożytek. W każdym razie — o ile my doświadczyliśmy — to Krówkowa jest chciwą i niedobrą kobietą.

P. Machnicki. Sprostowanie umieszczamy. Nazwiska jednak korespondenta wymienić nie możemy. bo żadna uczciwa redakcya nigdy nie wymieni nazwiska. Tajemnica redakcyjna jest tajemnicą spowiedzi. Tylko łotr redaktor zdradza nazwisko, chyba że korespondent sam się na to zgodzi. — Co się tyczy burmistrza, to powinien on energicznie stanąć w obronie dotkniętych powodzią. Nic dziwnego, że ludzie mają żal i skarżą się, bo biedaków — jak pan sam pisze — jest 260, a zapomogę dostało tylko 60. Więc tamtych 200 ma umrzeć z głodu?—Może pan namówi w tamtych stronach 10 nowych prenumeratorów, Bardzo prosimy i życzymy wesołych świąt!

Jan Michałek. Wieprz, Prosimy o oznajmienie, który z Michałków zapłacił prenumeratę za pół roku tj. z pod którego N-ru, a zarazem o podanie na przyszłość numeru domu.

Gembarowski. Prenumerata za cały rok 1903 zapłacona.

P. Dębicki, Słowik, Czaja. Kalendarze wysłane.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawcy i właściciele: Ks. Andrzej Szponder i Dr. Michał Danielak. — Redaktor odpowiedzialny: Władysław Jaśko.

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.